

MAGAZYN OPINII

Pismo.

LUTY 2024 | NR 2 (74)

SOCZEWKA

Mafia śmieciowa po polsku

ESEJ

Mark Rothko: wyznawca kolorów?

Jak się robi politykę w trakcie wojny

LITERATURA

Aleksandra Zielińska Edward Pasewicz



CENA: 19,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

0 2 >



9 772544 502401

MAGAZYN OPINII

Pismo.

LUTY 2024 | NR 2 (74)





Keith Haring, litografia, bez tytułu, 1985, Kolekcja Galerii Studio w Warszawie

WIDZENIE CIAŁEM
KOLEKCJA GALERII STUDIO

GALERIA STUDIO
PLAC DEFILAD 1 W WARSZAWIE
15 MARCA (WERNISAŻ) – 5 MAJA 2024

Pismo.

LUTY 2024

PROZA

Pieśń wieloryba | 6
ALEKSANDRA ZIELIŃSKA

Koniec | 90
MARTA HERMANOWICZ

POEZJA

11 lutego 2002 | 3
EDWARD PASEWICZ

[...] | 30
KATARZYNA NANDZIK

Czym jest poezja | 52
ANDRZEJ SOSNOWSKI

OBRAZ

W KADRZE **Jurek, Georges** | 4
AMADEUSZ ŚWIERK

KOMIKS **Kosmos** | 53
TOMASZ KONTNY, BŁAŻEJ QRJUSZ KUROWSKI

W RAMACH PISMA **Angelus Mortem** | 80
ZOFIA PŁOSKA-CZARTORYSKA O TAU LEWIS

OKŁADKA **Las śmieci**
ALEKSANDRA CZUDŻAK

FELIETON

2 | ROZMOWY Z K. **Bach w smogu**
KAROLINA LEWESTAM odpowiada na pytanie czytelniczki

96 | **À propos śmieci**
ZUZANNA KOWALCZYK

APTECZKA

69 | **Co w niej trzyma...**
KASIA SMUTNIAK, pyta MATEUSZ ROESLER

SOCZEWKA

14 | **Rekultywacja po polsku**
MICHAŁ SZCZĘCH opisuje walkę mieszkańców wsi z biznesem śmieciowym

REPORTAŻ

44 | **Żadnej nadgrywki, tylko goły człowiek**
DAMIAN NOWICKI opisuje wizyty kłownów w szpitalach dziecięcych

82 | **Największa ze wszystkich gwiazd**
MICHAEL SCHULMAN o Hollywood, podwójnych standardach i wyścigu po Oscara

ESEJ

60 | **Ukraina walczy i politykuje**
MICHAŁ POTOCKI sprawdza, jak funkcjonuje państwo ogarnięte wojną

70 | **Obecności**
SYLWIA ZIENTEK tłumaczy znaczenie koloru w pracach Marka Rothko

Pismo.

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Wojciecha Górskiego 1/66,
00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkinie Zarządu:
Magdalena Kicińska, Kalina Wyszyńska

Adres redakcji: Pismo. Magazyn opinii, ul. Wojciecha Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Redaktorki prowadzące: Katarzyna Kazimierowska (sekretarstwo redakcji),
Zuzanna Kowalczyk, Weryfikacja faktów: Marcin Czajkowski, Felieton: Karolina Lewestam,
Redakcja: Joanna Dolecka, Urszula Kifer, Zofia Sawicka, Ilona Turowska, Korekta: Ewa Bargiel, Monika Marczyk,
Dorota Śrutowska, Wydanie cyfrowe i audio: Barbara Sowa, Ewa Pluta, Iga Gromska, Karolina Wasiczek,
Projekt makiety: Jacek Utko, Dyrekcja Artystyczna: Karolina Mazurkiewicz, Skład i łamanie: Marta Juchnowicz-Bierbasz,
Marketing: Mateusz Roesler, Promocja: Ewa Salamon, Fundraising: Inez Jaworska,
E-commerce: Anna Ostrowska, Prenumerata i subskrypcja: Marcin Lipiec

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl



KAROLINA LEWESTAM (ur. 1979), dziennikarka i redaktorka. Obroniła doktorat z filozofii na Uniwersytecie Bostońskim. Wielokrotnie nominowana do nagrody Grand Press. Członkini redakcji „Pisma”.

Droga K.

Studuję kierunek związany z muzyką poważną. Strasznie irytuje mnie znikome zainteresowanie sztuką wysoką w społeczeństwie. Frekwencja w salach koncertowych pozostawia wiele do życzenia, a wśród publiczności dominują siwe głowy... Dlaczego ludzie nie poszukują jakości, dlaczego zadowolają się tandetą, którą serwuje radio? Doszukują się autentyczności w nowym albumie kolejnej gwiazdeczki, w którym „odkrywa swoje osobiste oblicze”... przecież to się nie umywa do prawdziwie wielkich dzieł i znakomitych wykonawców, którzy doskonalą swój warsztat od najmłodszych lat. Moje wieloletnie doświadczenie w obcowaniu z muzyką poważną wręcz krzyczy, że sztuka uwzniośliła, rozciąga, stawia wymagania i nigdy nie pozostawia człowieka obojętnym. Czy to nie powinno wystarczająco zachęcać do podjęcia wysiłku zainteresowania tym tematem? Jak rozmawiać z ludźmi, by odkryć przed nimi piękno i zalety sztuki?

K.



Więcej felietonów z cyklu *Rozmowy z K.* przeczytasz lub wysłuchasz na magazynpismo.pl/rozmowy-z-k

Czasem o trudnych rzeczach dobrze jest napisać do kogoś, kto jest daleko. Napisz do mnie. rozmowyk@magazynpismo.pl

Bach w smogu

Droga też K.,

Na pewno słyszałaś: styczeń, rok 2007, poranne godziny szczytu. Waszyngton. Stacja metra L'Enfant Plaza. Rozlega się najpierw *Chaconne* Johanna Sebastiana Bacha, a potem jeszcze *Ave Maria* Franza Schuberta; a następnie *Estrellita* Manuela Ponce'a. Nikt się nie odwraca, wszyscy pędzą, szczerze pozawijani w szaliki. Kto gra? Joshua Bell, wybitny skrzypek; jego skrzypce, jak on, też są tu incognito, bo wyglądają zwyczajnie, a naprawdę są dziełem niejakiego Stradivariusa. W ciągu 43 minut wirtuoza mija, chuchając w zamarznięte dłonie, 1097 osób. Dwaście siedem rzuca mu drobniaki. Wieść gminna niesie, że niektórzy obojętni przechodnie mogli mieć już w kieszeni bilety do filharmonii za setki dolarów na występy pana Bella, które miały odbyć się nazajutrz, ale z jakiegoś powodu ta sama muzyka, usłyszana w metrze, a nie w pięknej sali, nie zachwyca; zwłaszcza gdy się człowiek spieszy do roboty.

Całą sytuację zaaranżował „The Washington Post”, żeby udowodnić... co właściwie? Każdy wyciągnął wniosek, jaki chciał. Jedni twierdzili, że eksperyment pokazuje ogólną znieczulicę na piękno, która się pleni w naszych społeczeństwach nam samym na pohybel. Inni uważali, że to kapitalizm zabija sztukę, bo jak człek prze do pracy, to w determinacji swej po drodze zdepcze nawet Bacha. Czym jest chwila muzycznej rozkoszy wobec widma spóźnienia do korpo? Kolejni mówili: „Aha! Sztuka nie istnieje, a przynajmniej nie ma obiektywnej wartości, bo jak ludziskom się nie napisze czarno na białym, że coś jest wielkie i zachwycać ma, to pies z kulawą nogą się przy tym nie zatrzyma – sztuka to nic więcej, jak tylko pieczęć, że coś jest sztuką”. Ktoś tam nawet napisał, że ten cały Bell to może po prostu kiepski muzykant i przereklamowany, został więc bezpardonowo zweryfikowany przez publiczność podziemia transportowego. A Ty co myślisz, droga K.? Pewnie uważasz, że trzeba nie mieć piątej klepki, żeby wynosić na mróz Stradivariusa.

A ja myślę tak: ZMĘCZENIE. Wielkie zmęczenie. Ogromne, przeogromne, wieczne, chroniczne, pleniące się jak smog; jak smog wciskające się nam do płuc, osiadające kurzem na autach i balkonach; wielkie, największe zmęczenie. Znasz je? Ja tak. Czasem w ogóle wydaje mi się, że nie znam nikogo więcej, tylko to zmęczenie. Mam, owszem, przyjaciół i znajomych, ale niekiedy zdają mi się tylko pojemnikami na zmęczeniową mgłę, skonstruowanymi po to, by mogła się łatwiej przemieszczać; ja pewnie wydaję się im tym samym, bo nic, tylko smęć, jaka jestem zmęczona, a smog kłębammi bucha mi z uszu i pyska jak oklapłemu smokowi.

Ludzie w metrze też są zmęczeni, a przez opary smogu trudno usłyszeć sztukę. Powietrze, wypoczęte i świeże, przekazuje nuty dalej, dodając im sprężystości; smog zmęczenia zaś przykleja się im do stópek, oblepia je kurzem, ołuszcza im fryzury. Pytasz, K., jak rozmawiać z ludźmi, żeby odkryli piękno i zalety sztuki, a ja ci powiem, że kiedy czytałam Twój mail, tak ładnie i porządnie zredagowany, zadający tak ważne pytanie, poczułam... jeszcze większe zmęczenie. „O rany – pomyślałam. – Zrobiłam już dzisiaj owsiankę, znalazłam skarpetki i dawno niewidziany zeszyt; zawiozłam dzieci do szkoły i odpowiadam na maile, podczas gdy telefon buczy, a kot miauczy z głodu u moich stóp. A tu jeszcze przecież jest Bach, trzeba jeszcze tego Bacha, bo bez niego moralny upadek, życie na łatwiznę, Netflix i Ariana Grande; kim jestem bez Bacha, otóż nikim”. I chciałam nawet włączyć coś porządnego, ale smog zmienił się w węza, który oplótł moją rękę, i włączyłam Taylor Swift.

Postanawiam niniejszym, droga K., że na Ciebie zrzucam obowiązek zostania depozytariuszką kultury muzycznej. Bo widzisz, ja też się niepokoję, że ten Netflix, że ta Ariana, ale czytuję raz jeszcze Twój mail i zdaję sobie z czegoś sprawę: do poczucia, że cywilizacja przetrwa, wystarczy mi wiedza, że istniejesz. Bo póki jest druga K., która czuje, zna, docenia i słucha, ja mogę się oddać bezmyślnemu brodzeniu w smogu codzienności. A kulturę uratujesz dla nas Ty.

Umowa stoi.?

POEZJA

11 lutego 2002

EDWARD PASEWICZ

—

Pamiętam śniegu,
żeby cię pozdrowić,
kiedy jest poniżej zera.
Kończysz się
w wyższych temperaturach,
tak jak ja na skutek
myślenia, ale
zatrzymać się nie da;
rój głosek w mózgu
wciąż się powiela
i przebija przez
chęć, by zapomnieć.
W czymkolwiek
się roztopisz, zawsze
nadejdzie pora,
że coś z ciebie wróci
na trawnik przy bloku,
mnie też nie leczy
ta myśl – stoję
po kostki w tobie.

Jest świt.

Wiersz pochodzi z domeny publicznej.

Więcej wierszy tego poety i innych twórców na stronie Wolnelektury.pl

EDWARD
PASEWICZ

(ur. 1971), poeta, pisarz, dramaturg, kompozytor. W 2021 roku otrzymał nominację do Nagrody Literackiej Nike za tom *Sztuka bycia niepotrzebnym*, w 2022 roku za powieść *Pulverkopf*. W 2022 roku otrzymał Literacką Nagrodę Europy Środkowej Angelus.





W KADRZE z cyklu *Jedni z nas*

Jurek, Georges

zdjęcie i tekst AMADEUSZ ŚWIERK

Jurek Furtak nie pamięta swojej mamy. Ostatni raz widział ją w wieku czterech lat. Zostało mu po niej jedno zdjęcie, mocno wytarte od ciągłego oglądania. Urodził się w Konakry, w Gwinei Francuskiej (obecnie Republice Gwinei), a gdy miał cztery lata, ojciec, polski marynarz, przywiózł go do Legnicy. Można sobie łatwo wyobrazić, jak wyglądało życie czarnoskórego malca w Polsce lat 60. i 70. W dziewięćdziesięciotysięcznej Legnicy Jurek nigdy nie spotkał drugiego czarnego. Za to aż za dobrze pamięta swoje dzieciństwo: bicie i drakońskie kary, jakie wymierzał mu ojciec, oraz bójki i poniżanie przez rówieśników w szkole i na ulicy. A ponieważ nie zamierzał być im dłużny, wcześniej trafił do poprawczaka.

W 1985 roku Telewizyjna Lista Przebojów wyemitowała piosenkę *List do czarownika*. Wykonawca – „Bambo”, bo taki pseudonim artystyczny przyjął Jurek. Uważa, że w tym czasie był pierwszym tancerzem breakdance w Polsce, sam uczył się z teledysków. To mógł być moment przełomowy w jego życiu. Show-biznes jednak się o niego nie upomniał, za to przypomniała o sobie gangsterka – w 2001 roku trafił do więzienia między innymi za rozbój, wymuszenie i pozbawienie życia (Jurek mówi: „to był kolega, który ze mnie sztychł” i że żałuje). Dziś po dwóch zamachach na swoje życie jest częściowo sparaliżowany. Nie brakuje mu jednak przyjaciół, a sąsiedzi traktują go jak swojego, jak Polaka, jednego z nich. A na tym Jurkowi zawsze najbardziej zależało.

Więcej zdjęć z tegorocznego cyklu na magazynpismo.pl/w-kadrze

Pieśń wieloryba

tekst ALEKSANDRA ZIELIŃSKA

—
Możecie więc nazywać mnie Izabelą.

Parę lat temu – nieważne, ile dokładnie, choć dokładnie wiem, wystarczy rzut oka na kalendarz i zegarek, abym mogła z precyzją niemal co do godziny określić moment, gdy wyszłam po mleko i nigdy nie wróciłam – niemniej jednak parę lat temu, niewiele mając przy sobie, niewiele mając interesującego wokół siebie, uznałam, że pojedę nad morze, a może nawet nie pojedę, a wyjadę nad morze. To proste, za każdym razem, gdy weźmiesz człowieka zanurzonego w najgłębszych rozmyślaniach i postawisz go na drodze, pchniesz tylko lekko palcem w plecy, w to wrażliwe miejsce między łopatkami, żeby skłonić go do ruchu, to doprowadzi cię nad morze. Zawsze doprowadzi cię nad morze, jak gdyby słyszał głos na innej częstotliwości niż ty. Czasem można przyłożyć ucho do ziemi, trochę się człowiek ubrudzi, ale warto, wszystko wydaje się wtedy takie małe.

Jeśli musicie, możecie nazywać mnie więc Izabelą, ale tak naprawdę to nie jest takie ważne, wcale a wcale, od opowiadających zawsze ważniejsze są opowieści. No dalej, nie ma się czego bać, nie ma czego, wystarczy przyjść, usiąść przy ognisku, no dalej, nie ma czasu na zastanawianie się, to dopiero początek albo dopiero koniec. Trzy, dwa, jeden, zapłon silnika i start.

Lutowe morze jest wzburzone i kołtuję się, jak gdyby ktoś trząsnął całą ziemią. Fale przelewają się na horyzoncie, jedna połyka drugą, rośnie, aż spiętrzona rozlewa się na plażę, sięga coraz dalej, chcąc połączyć wszystkie te uciekające buty, ale połyka tylko sam piasek. Cofam się kilka kroków, kolejne fale szybko wygładzają ślady grubych podszew. Wciskam ręce w kieszenie, wystawiam twarz do wiatru i słucham, jak morze kołysze całym portem. Tak szumią gniecione koce ratownicze. Tak pęka powierzchnia wody, przerywana przez ciała wielorybów. Tak układa się fala o częstotliwości 52 herców.

Obok płacze dziecko, jego głos wciska się pomiędzy powarkiwania morza, przebija lutowy spokój jak igła balon. Ma może dwa, trzy lata, nie umiem dobrze określać wieku dzieci, są zawsze tu i teraz, zawsze w czasie niedokonanym, a jedyne, z jakimi miałam do czynienia, dziećmi już pewnie nie są. To na plaży nie chce zniknąć, dalej ma na sobie kombinezon, ale czapki już nie, możliwe, że czapkę kłusują mowy albo towarzyszą jej w drodze na dno meduzy. Dziecko rozgląda się na lewo i na prawo, rozglądam się i ja, nikogo, tylko my dwoje, lub my dwie, trudno orzec. Siada na piasku i bezradnie krzyczy dalej, z przerwami na nabranie oddechu. Nie widzi mnie, wystarczy, że ja widzę. Stoimy tak parę minut, każde na swoim miejscu, jak odbicia w lustrze, aż z głębi plaży nadbiega

matka ze swoim krzykiem, ale ja już obracam się na pięcie i idę do pracy. Lubię sobie myśleć, że matka przyłożyła ucho do ziemi, żeby odnaleźć dziecko.

Lubię sobie myśleć, że są inne plaże, na których go nigdy nie zgubiła. Takie, gdzie nigdy nie znalazła, też istnieją, ale nie teraz.

—
ŚCIĄGAM WARSTWĘ po warstwie, prawie do końca, skarpety, wełniany sweter, bieliznę termiczną, aż zostają tylko w tej zwykłej i na nią naciągam kolejne warstwy z innego zestawu, aż z Izabeli staję się osobą, której imię nie ma większego znaczenia. Wcale mi to nie przeszkadza, bardzo lubię swoją pracę, z czułością wygładzam plisy na spódnicy, poprawiam kołnierzyk białej koszuli, prostuję plakietkę z imieniem, która codziennie jest inna, bo codziennie wybieram sobie inną z puli plakietek, które zostały po dawnych pracownikach w słoiku na napiwki. Tutaj nawet nie znają mojego prawdziwego imienia, jeśli w ogóle można o czymś takim mówić, skoro wszystko nazywam przecież sama.

W Syrenim Śpiewie jest jeszcze pusto, kręci się wyłącznie obsługa, więc kręcę się i ja, najpierw z tyłu, patrząc, jak szef kuchni wprawnymi ruchami obcina głowy rydom, które przyjechały na łodzi z portu. Łądują w misce, potem trafiają do gara, gdzie będą bulgotać, aż wrzątek zamieni się w wywar.



ilustracja ELINA PYROHOVA

Szef kuchni ostrym nożem zeszkrobuje łuski z ciał fląder. Flądry patrzą na mnie szklistymi oczami. Patrzy też szef kuchni, więc wracam na front, gdzie przecieram blaty, ustawiam krzesła, spoglądam pod światło na kieliszki, poprawiam ułożenie sztućców. Syreni Śpiew nie jest zbyt wykwinną restauracją, choć lubi za taką uchodzić, bo wydaje się, że czekające na gości gotowe nakrycia i widok na morze wynagrodzą ceny i smak mrożonych krewetek.

Pierwsze nadejdą matki z dziećmi, szukające spokoju, bo pogoda nad morzem poza sezonem znów nie dopisała. Potem, w porze obiadowej, pojawią się już całe rodziny, a zamiast syreniego śpiewu będzie się niósł wrzask, płacz albo śmiech. Na końcu przyjdą pary, grupy, wycieczki, trzeba będzie dla nich łączyć stoły i posiedzą wszyscy do późna. W czwartki gra zespół szantowy, w soboty stoły chowamy, żeby zrobić miejsce na dancing. Najbardziej lubię właśnie soboty z całym tym ich karnawałem albo – dla odmiany – leniwe poniedziałkowe wieczory, takie jak teraz.

Roznoszę piwa z sokiem, herbaty z rumem, parujące półmiski z flądrami, miski pełne rybich grzbietów, rybie grzbiety nabite na szaszłyki, donoszę serwetki, sztućce, dodatkowe szklanki, zawsze pamiętam, który stolik, który klient, który rachunek. Bardzo lubię swoją pracę, jestem dobra w mojej pracy.

Kobieta z płaczącym dzieckiem nie przychodzi, a szkoda, bo dałabym mu gratisowe ciastko do herbaty. Kto wie, może nie było ani dziecka, ani kobiety, tylko ja, tylko mewy się darły, a morze rozbijało o kamienie, więc ciastko mogę zjeść sama. Jest kruche i słodkie.

Zliczam pieniądze w kasie, sprawdzam, czy wszystko się zgadza i przeważnie tak, bo jestem bardzo dokładna i lubię, żeby się zgadzało. Jednym uchem słucham rozmów przy niewielu zajętych stolikach. Ktoś się klóci, ktoś narzeka na pogodę w lutym, nie można się kąpać, ceny znowu wysokie, lećmy na Malediwy, Seszele albo chociaż pociągami do Augustowa, czasem śmieję się z żartów, tak żeby klienci nie widzieli, czasem podpatruję, co czytają albo piszą w swoich telefonach.

Lubię podłuchiwać i nie ma się co żyć, mać i krzywić, wszyscy lubimy, no, nie mówcie, że nie.

Potem wlewają się one, choć do zamknięcia jeszcze niecałe dwie godziny, a widać, że mają ochotę na jedzenie, bo wcześniej dużo wypili, a Syreni Śpiew nie jest ich ostatnim przystankiem. Są cztery, każda inna, ale jednocześnie wszystkie takie same w różnych wariacjach najmodniejszej w tym sezonie sukienki z sieciówki, ale jednej z tych droższych. Wyglądają na studentki, trudno określić, co świętują, urodziny, imieniny, zaręczyny, początek semestru, każda możliwość jest dla mnie dobra. Zbieram karty z lady, żeby do nich podejść, ale w ostatniej chwili się zatrzymuję.

Poznaję ją od razu, choć minęło już ponad sześć lat, a jeśli spojrzę na zegarek i kalendarz, to będę mogła dokładnie określić, kiedy wyszłam po mleko i nigdy nie wróciłam. Zmieniła się, wyrosła i rozkwitła, podobna do matki, ale i do ojca, szczególnie w ruchach, w tym samym nerwowym potrząsaniu dłońmi czy lekkim przygarbieniu, które wynika nie z wady postawy, a z wysokiego wzrostu, możecie ją więc nazywać Marianką.

Marianka też na mnie patrzy, ale przelotnie, co oznacza, że być może już zapomniała albo ja zmieniłam się bardziej niż ona, co jest możliwe, bo przecież pierwszy dzień wyjazdu nad morze spędzałam na przepoczwarzaniu się z konkretnej Izabeli w każdą inną.

Uśmiecham się do siebie, dyskretnie obserwując, jak dziewczęta obsiadają stół, a przez restaurację niosą się ich śmiechy jak syreni śpiew i już wiem, że przyciągną innych klientów, rozruszają tych obecnych i obroty z poniedziałkowych staną się bliższe czwartkowym. Inna kelnerka wyjmuje mi z rąk karty i zanoszą do stolika, myśląc, że pewnie jestem już zmęczona, ale wcale tak nie jest, ja się nigdy nie męczę.

Obsługuję pozostałych gości, choć patrzę na Mariankę i czuję dumę, że wyrosła na tak piękną kobietę. Pamiętam ją z czasów, gdy wspólnie wychodziliśmy z psem, nazywał się Mina, był mały i śmierdział. Pamiętam ją z czasów, gdy miała puculatą buzię i czepiała się ramienia ojca, chcąc go jak najdłużej przy sobie zatrzymać. Teraz przewyższa mnie o głowę, dobrze zbudowana, szeroka w ramionach, ale i lekka w ruchach, musi łącać serca chłopców jak ojciec łącał kości.

Rzeczywiście, ruch wzrósł, straciłam już rachubę, ile fląder przeszło mi przez ręce,

dobijam do lady, zliczam pieniądze, kątem oka widzę, jak syreny podnoszą się jedna za drugą i pojedynczo wychodzą do toalety. Podnosi się i Marianka, poprawia sukienkę i podchodzi do baru, patrzy na mnie pogodnie i sama nie wiem, czy patrzy tak na wszystkich, czy tylko na mnie, ale wątpię, przecież wiem, że nikt mnie tu nie znajdzie, a jeśli nawet, to nic, to nieważne, przecież to już nie jestem tamta ja.

– Poproszę wódkę.

Zamówiły wino do kolacji, więc nie jest to najlepszy wybór, ale nie odzywam się słowem, tylko uśmiecham się i leję jej kieliszek najlepszej, jaką mam, a do rachunku doliczam najtańszą. Wypija od razu, jedynym haustem, na szkle zostaje ślad czerwonej szminki. Marianka się uśmiecha, ładnie.

– Dzisiaj kończę dwadzieścia lat.

Zanim zdążę złożyć jej życzenia, reszta dziewcząt gotowa do wyjścia podnosi się już falą z krzesel. Zakładają płaszcze, kotłują się, przekrzykują, połykają Mariankę między siebie, płaczą rachunek i znikają jak morska piana, jak gdyby nigdy ich tu nie było. W Syrenim Śpiewie panuje już cisza i spokój, jak zawsze. I jak zawsze sprzątam po ostatnich gościach, zamykam kasy, przebieram się na powrót we własne ubranie i wychodzę na plażę, którą kąsa morze.

Trochę stoję nad brzegiem i słucham, licząc, że usłyszę wieloryby, ale tu nigdy nie słychać wielorybów, tego konkretnego też nie, więc zbieram się i wracam do domu. Dzień jak co dzień, jak każdy inny, zaskakującą wizytę zapamiętam, włożę do pudełka, może nawet czasem będę do niej wracać, kształtować i zmieniać, aż stanie się kolejną historią, którą wam opowiadam.

Po drodze myślę o oparciu krzesła, którego dotknęłam, jeszcze ciepłego ciepłem Marianki.

— PRZYSZEDŁ następnego dnia.

Lubię, gdy dni są takie same, nic wyjątkowego się nie dzieje, bo wtedy wszystko może być wyjątkowe, jeśli, rzecz jasna, jesteście wystarczająco odważni. Na przykład lubię, gdy największym wydarzeniem jest sztorm albo ciekawe rzeczy, które wyrzuca morze, nie lubię, gdy sytuacje zaskakują mnie zniechacka, nie po to wyjechałam, żeby dawać się

zaskakiwać czymś innym niż chlebna pod gołą podeszwą.

Niosę tacę z zupą rybną i pstrągiem na maśle, gdy słyszę jego głos, a ten jest nie do podrobienia, bo mówi głośno, szybko, tak, żeby wszyscy słyszeli, zawsze z intonacją, jak gdyby żartował, nawet jeśli chodzi o potrójne złamanie, z taką czułością, żeby ci, co słyszą, aż tak bardzo się nie martwili, pan doktor wszystko przecież nastawi, wstawi na swoje miejsce, do wesela się zagoi, wygoi jak na psie. Stawiam dania przed parą na miłej wtorkowej randce, odwracam się dyskretnie i widzę, jak siada, zagaduje kelnerkę, a ona się uśmiecha, może nawet śmieje.

Wracam za bar, czekam na kolejne gotowe zamówienie, przyglądam się dalej. Nic się nie zmienił, mimo upływu sześciu lat, i tak mi się wydaje, że w tym wieku sześć lat nie robi już różnicy, zresztą zawsze wydawał mi się odporny na czas i na próby określenia wieku. Włosy ma jasne, więc nie widać siwizny, wciąż nosi się prosto, ale lekko zniża głowę do wszystkich, którzy nie dorosli mu do ramion. Ma na sobie garnitur w kolorze marynarskiego granatu, jestem pewna, że na wieszaku zostawił płaszcz w komplementarnym kolorze, bo te zawsze musiały się zgadzać. Nieraz spędzał więcej czasu na szykowaniu się niż ja.

Przeogląda kartę w ogromnym skupieniu, jak gdyby nie mógł się na nic zdecydować, i już wiem, że nie jest tu przypadkiem, akurat Syreni Śpiew nie byłby jego pierwszym wyborem, jeśli chodzi o spędzenie wieczoru. Próbuje pewnie znaleźć coś, co odpowiadałoby jego podniebieniu, rozpuszczonemu posiłkami w drogich hotelowych restauracjach. Może będzie maglował kelnerkę o wina, rzucając nazwami, którymi tutaj się nie obraca, ale w tak naturalny sposób, że nikt nie poczuje się urażony. Taki jest zabawny w tej swojej nowobogackiej nowomowie.

Zjawia się wycieczka bibliotekarek albo nie, powiedzmy, że to uczestnicy konferencji informatycznej, przecież mogą sobie wybrać, niech zatem będą uczestnicy konferencji, którzy zbłądzili w drodze do hotelu, a wiatr wcisnął ich w pierwszy lepszy otwarty lokal. Zajmują mi czas na długo, nie mogąc się zdecydować w kwestii dań, ale wciąż pewni, czego chcą się napić i tego, że chcą się napić dużo, więc noszę te tace,

szklanki i półmiski, a gdy przychodzi chwila żeby odsapnąć, w końcu zauważam, że na mnie patrzy.

Siedzi z nogą założoną na nogę, nad rozrzebanym talerzem z turbotem, rozluźniony, z jedną ręką na blacie stołu i uśmiecha się, jak gdybyśmy się widzieli wczoraj, nie sześć lat temu, i jest w tym uśmiechu cała Marianka z wczoraj i sprzed sześciu lat, mogę to sobie przecież wyobrazić. Nie wstaje, nie podchodzi, tkwimy tak przed sobą, zatrzymani, podczas gdy cała restauracja wokół wiruje jak zawartość kuli z miastem i śniegiem w środku, ruch, ruch, ruch, tylko w oku cyklonu panuje cisza na morzu, cisza przed burzą, aż coś pryska, głowa wieloryba przecina powierzchnię morza, rozlega się



śpiew na właściwej-niewłaściwej częstotliwości, wszystko wraca na swoje miejsce i już, i koniec, i ja zbieram puste talerze, on płaci rachunek i wychodzi. Do końca zmiany została mi godzina.

Zastaję go na restauracyjnym tarasie, który jest zamknięty poza sezonem, ale wciąż można oprzeć się o balustradę albo przysiąść na donicy z przyschniętą tują. Kręci się w miejscu w swoim stylu, jak stojąca glista, jak gdyby sam nie miał kości, i wpatruje się w morze, które kilkadziesiąt metrów dalej przelewa się od brzegu do brzegu, oto gar pelen rてci.

– Pamiętasz, jak byliśmy w Tadoussac, ile to już lat będzie, z dziesięć, prawda, też było tak zimno, listopad, ostatnia wycieczka w sezonie, ale się wtedy trząsałem, powiedzieli, żeby się ubrać, i się ubrałem, ale w ogóle

nie byłem przygotowany na taką pogodę, mam za stare kości, ledwo wypłynęliśmy i już czułem, że brak czapki to był najgorszy pomysł, a z rozmysłem nie założyłem czapki, nie wiem nawet, czy w ogóle zabrałem czapkę, kupiłem ją potem, pamiętasz, kupiliśmy razem, przewodnik pomstował, tak mi się przynajmniej wydaje, że pomstował, mieli taki ostry akcent, że trudno zrozumieć, miałem się uczyć francuskiego, ale nigdy nie wyszedłem poza dzień dobry i do widzenia, chciałem, żeby tylko pokazały te wieloryby i żebyśmy wracali do portu, trząsałem się z zimna, a ty stałaś nieruchomo, jak gdyby ten wiatr w ogóle nie robił na tobie wrażenia, dlatego zwróciłem na ciebie uwagę, pamiętasz, pamiętasz, jak byliśmy w Tadoussac?

Oczywiście, że pamiętam, to było w Tadoussac, w Quebecu albo, co mi tam, we Władysławowie, chociaż nie, teraz niech będzie, że w Tadoussac. Było zimno tak jak tej nocy, może nawet mamy rocznicę, tak, zróbmy sobie rocznicę, Rzeka Świętego Wawrzyńca burzyła się u wylotu do oceanu, tak jak morze przed nami.

W Syrenim Śpiewie jest już ciemno, chcę wracać do domu, więc schodzę z tarasu, ciągnę go za sobą albo to on ciągnie za mną i idziemy plażą. Jego wypastowane buty zapadają się w piasku i traci ten swój sznyt dorosłego, poważnego mężczyzny, jak wtedy, gdy wychylał się przez burtę łodzi i krzyczał, ucieszony jak dziecko, że widzi wieloryba, że on pierwszy dostrzegł, jak wodę przecina wielka płetwa ogonowa, o tam, o tam, patrzcie.

Pytam go o Mariankę.

– Och, Marianka, tak, kończy dwadzieścia lat, wyobrazasz sobie, dwadzieścia, właściwie skończyła wczoraj, mieliśmy być tu razem, we dwoje, wiesz, świętować bez zbędnych ceregieli, jak ojciec z córką, gofry nad morzem i oceanarium, mają tu skrzypłocze, widziałaś, na pewno widziałaś, skoro teraz tu mieszkasz, w życiu bym nie pomyślał, że tu zamieszkas, tak, Marianka mi powiedziała, że nie była pewna, ale kazała mi przyjść, Syreni Śpiew, nigdy bym tu sam z siebie nie zajrzał, tak, Marianka mi powiedziała, mieliśmy być razem, ale nie da się tylko razem, więc zabrała swoje przyjaciółki, wiesz, ja nawet nie umiem zapamiętać ich imion, są jak wielogłowa hydra.

Pytam dalej o Mariankę, słucham z przyjemnością, kieruję go bliżej linii wody, tam, gdzie piasek jest twardy, spaceruje się wygodniej, choć trzeba uważać na fale, parę razy zalewa mu buty i wygląda to komicznie, gdy podskakuje jak oparzony, bo przemakają mu skarpetki. Czuję spokój, jak gdybyśmy chodzili tak co wieczór, daję się otulić całej tej sytuacji, słucham morza, lubię sobie wyobrażać, że pod powierzchnią Bałtyku kotłują się wieloryby, takie jak te, które pojechaliśmy oglądać w Tadoussac.

Pozwalam się wyprzedzić, patrzę, jak idzie przed siebie, tnie wiatr, wciska głowę głębiej w ramiona i spogląda na morze, ale z rezerwą, może nawet z obawą, gotowy odskoczyć, jeśli fala znowu liźnie jego stopy, ale fala tylko wygładza jego ślady, jak gdyby nigdy tędy nie szedł. Dalej boi się morza. Dlatego zwróciłam na niego uwagę na łodzi, nieważne, że oprócz mnie był jedynym Polakiem, błogosławionym pośród Kanadyjczyków, ważne, że na pokład wchodził z jakimś nabożnym szacunkiem, jak gdyby od wytrzymałości kadłuba zależało jego życie. Podobano mi się, z jaką nerwowością poprawiał na płaszczu kapok, który za nic do tego płaszczka nie pasował. Nie mógł sobie znaleźć miejsca, może nawet trochę zieleńiał od choroby morskiej. Patrzyłam kątem oka, jak błądy trzymał się burty i wgapił w te fale. W międzyczasie rozmawiałam z przewodnikiem o wielorybie 52 – 52 herce, tak go nazywają.

Wołam cicho, wieloryb nie odpowiada.

– Co? Skręcamy? Tędy? Tutaj, między te drzewa? Dokąd idziemy? Jesteś pewna, że to właściwa droga? I ty chodzisz tędy sama po nocy, przecież to niebezpieczne, nie powinnaś chodzić sama po nocy, tyle się słyszy o tych napaściach, z bronią, bez broni, ile teraz jest przemocy, za moich czasów tak nie było, nie wiem, co się stało, jest jakaś okrutna droga, ulicą, żeby latarnie się świeciły, albo chociaż koło zabudowań, musisz, Izabelo, musisz, dla twojego dobra, dobrze, że dzisiaj cię odprowadzam. No właśnie, odprowadzam, ale czy masz czas? Masz chwilę? Wpuścisz mnie do środka? Wiem, nie powinnaś wpuszczać obcych do środka, ale może mnie wpuścisz, jeśli, rzecz jasna, ni-kogo tam nie ma, nie chcę ci przeszkadzać. Och, tu mieszkasz.

To aż komiczne, gdy zatrzymuje się w pół zdania, z ręką uniesioną jeszcze w ferworze opowieści o samotnych dziewczętach, porywanych po nocy z przechadzek plażą, bo dziewczętom nie wolno spacerować samotnie, samotne dziewczęta są jak przynęta na turbota, kawałek śledzia dla mewy, nie przychodzi mu do głowy, że wręcz przeciwnie, są rybą fugu, najeżoną kolcami jeśli trzeba, i zastyga, trochę jednak zaskoczony. Wymijam go, wyjmuję klucze, otwieram drzwi, zapraszam do środka.

Wyjechałam nad morze bez żadnego planu, pierwszy raz w życiu i jak się okazało, nie umarłam, a plan układał się sam. Mieszkłam w różnych miejscach, od przyczep kempingowych, kamperów, domków na działkach, przez pokoje w domach jednorodzinnych, pokoje w domach wielorodzinnych, pokoje hotelowe i hostelowe, domki na kurzej nóżce, domki na drzewie, aż po domek wczasowy, który poza sezonem stoi pusty, bo jest przystosowany tylko do sezonu. Opowiadałam mu o tym wszystkim, gdy przekracza próg i schyla głowę, by nie uderzyć w futrynę. Opowiadałam, że właściciel Syreniego Śpiewu wynajmuje domki dla turystów latem, od przyszłego roku zamierza to robić również zimą, ale powiedział, że teraz, jeśli chce, może mi wstawić kozę do jednego z nich. Chciałam.

Wchodzi jak do siebie, z rozmachem, w ledwie kilku krokach obchodzi salon z aneksem kuchennym, zawija wokół schodów prowadzących na antresolę, zagarnia całą przestrzeń, w końcu staje na środku i rozkłada ręce, jak gdyby chciał zapytać, czy to tylko tyle.

– Nie mów, że nie masz nawet łóżka.

Nie mam nawet łóżka, na antresoli leży twardy kokosowy materac.

– To wygląda jak hotel albo nie, nawet nie hotel, bo w hotelach są chociaż inne pokoje, to rzeczywiście może i dom, ale taki skompresowany, dom w formie basic, zobacz, robię dwa kroki w lewo i jestem w kuchni, robię dwa kroki w prawo i jestem znowu w salonie, czy to w ogóle salon, dwa schodki

do góry i już jestem w sypialni, w ogóle nie trzeba się wysilać albo o, nie trzeba się w ogóle decydować, te pomieszczenia są tak płynne, że jak się uweźmiesz, to możesz być wszędzie naraz, zobacz, jestem wszędzie naraz, nie muszę podejmować żadnej decyzji. Izabelo, Izabelo, dlaczego odeszłaś?

Pytam, czy napije się herbaty, nie odpowiada, więc robię dwa kroki w lewo i jestem w kuchni, nalewam wodę do czajnika, włączam, do dwóch kubków wrzucam dwie torbki czarnej herbaty, nie muszę podejmować żadnej decyzji, mam tylko jedną herbatę i tylko dwa kubki. Bardzo je lubię, były już na miejscu, skąd się wzięły – nie wiem, nie mają żadnego popularnego logo, które mogłabym znać, wyglądają, jakby ktoś wydłubał je z większego kawałka ceramiki, oba są różne, układ wzorów na jasnej powierzchni inny, jeden nawet się wyszczerbił koło ucha, przez dno drugiego idzie pęknięcie, jakby w tych rysach zapisywały się wszystkie inne ręce, które robiły w nich herbatę, kawę, napar imbirowy na przeziębienie.

Mam też twardy kokosowy materac, stół i jedno krzesło, choć właściwie te rzeczy nie należą do mnie, były już na miejscu, gdy wprowadzałam się parę tygodni temu, zostaną, gdy się wyprowadzę za parę tygodni, miesiocy, może jutro.

Trochę nie wie, co zrobić, więc siada na jedynym krześle, nie może usiedzieć na miejscu, zaczyna się kołysać, dłonią gładzi blat stołu, szpic buta co rusz wskazuje sufit, kręci się nerwowo jak kryl porwany prądem.

– Nie masz książek, jestem zaskoczony, że nie masz książek, przecież zawsze miałaś pełne regały.

Mówię mu, że już nie czytam.

– Ale dlaczego, przecież zawsze lubiałaś czytać, nie lubisz już, czemu, wiesz, kiedy odeszłaś, ja nawet próbowałam czytać te książki, które po sobie zostawiłaś, ale jakoś mi to nie wychodziło, twoje wiersze też, nie powiem, że nie, mam ten tomik o wielorybie, dalej go gdzieś mam, inne też mam, nie wiedziałem, co mam zrobić z twoimi rzeczami, więc wsadziłem je w pudło

i trzymam w piwnicy, w tym mieszkaniu, co kiedyś było nasze, wiesz, tym z łóżkiem zamiast materaca.

Tym, gdzie było więcej krzesel.

– Wszędzie jest więcej krzesel niż tutaj.

Stawiam przed nim herbatę i śmiać mi się trochę chce, kiedy widzę, że nie wie, co ma zrobić z namokniętą torebką, więc trzyma ją w kubku, w herbacie, aż ta robi się czarna jak smoła, jak morze w środku nocy. Już widzę, że chciałby wszystko przestawiać, układać, dopasowywać tak, jak dopasowuje kości w pracy, ale się hamuje. Zgrywa rozluźnionego, ale wiem, że wystarczy tylko dotknąć jego ramienia, by poczuć napięte mięśnie, wystarczy tylko puknąć go w to wrażliwe miejsce między łopatkami, żeby zaprowadził cię nad morze.

– Lubię tę twoją książkę o wielorybie, bo tak naprawdę nie jest o wielorybie, tylko o Tadoussac.

Pytam o pracę. Książka jest o Tadoussac dla niego, o mnóstwie innych rzeczy dla innych.

– W pracy jak to w pracy, ludzie dalej są chorzy, dalej łamią nogi, będą łamać nawet częściej, przyjdzie zima, to przyjdą poskręcane kolana, ale wiesz, to już mniej mnie zajmuje, zmieniłem szpital, teraz pracuję w innym, niedługo będzie nawet już trochę mój, specjalizujemy się w biodrach i kolanach właśnie, gdybyś kiedyś potrzebowała, to zapraszam, kolana i biodra do wyboru, do koloru, najlepsze i najnowsze modele, mam nawet w hotelu katalog, mogę ci pokazać, kupujemy teraz protezy od takiego jednego, co go poznałem na tym szkoleniu, w Kanadzie, ale nie był w Tadoussac, gdzie indziej, bo tylko ja z całej konferencji wstałem wtedy tak wcześnie, żeby wypłynąć, reszta leczyła kaca, wiesz, robili sobie wlewy z glukozy w pokojach hotelowych, żeby szybciej stanąć na nogi, jakbyś kiedyś potrzebowała, to zapraszam, mówię kiedyś, bo w twoim wieku nie ma prawa się psuć, jeszcze zdążysz się przespacerować po moim grobie, wciąż bolą cię plecy?

Nie bolą, odkąd wieczorami kładę się na zimnej podłodze antresoli, nic mnie już nie boli. Siedzimy w ciszy, w której ja czuję się dobrze, bo to nigdy nie jest cisza całkowita, trzask morza niesie się aż tutaj, po drugiej stronie brzegu wiatr przygina drzewa

do ziemi, rozgania wydmy, przegania zagubionych turystów, gdzieś może krzyczą porzucone dzieci, na to nakładają się dźwięki domu, jak gdyby był żywym organizmem, czasem gdy się dotknie ściany, to jest ciepła, nie żartuję, polecam spróbować.

On się trochę denerwuje, schodzi z niego cała ta pewność, z którą przekroczył próg, może ze zdziwienia, że w ogóle tu jest, poszedł przecież tylko zjeść kolację w podrzędnej restauracji, żeby zabić czas w oczekiwaniu, aż córka się wytańczy i wypoci na



parkiecie wszystkie te urodzinowe toasty, a teraz siedzi w domu, nie domu, nad czarną herbatą, sam nie wie po co, sam nie wie, co go tu przywiodło, przecież mu nie powiem, że wieloryb.

Przyglądam się z czułością, jak przeczesuje włosy, jak patrzy w sufit, w podłogę, na mnie, a pod spodem burzy się w nim, kołuje i wzbiera, aż przeleje się przez falochrony. Jest w tym wszystkim jak samotne dziecko na brzegu.

– Pamiętam, że najpierw dzwoniłem do ciebie bez powodu albo może i po coś, ale po nic ważnego, może żeby ponarzekać na spółdzielnię, bo wtedy chcieli budować parking przed naszym blokiem, albo może to było coś w pracy, nie odebrałaś, nawet mnie to wkurzyło jeszcze bardziej, że nie odbierasz, jak tego potrzebuję, ale dobrze, dzień się toczył dalej, miałem dyżur nocny, wróciłem rano i coś było nie tak, coś nie tak w powietrzu, przeszedłem przez próg i od razu wiedziałem, że cię nie ma, takie rzeczy się wie.

Owszem, nie było mnie. Gdy dzwonił, rozglądałam się po mieszkaniu, które obrosło naszymi rzeczami, i podejmowałam decyzję, że nie zabiorę niczego. Niech będzie, że to też był luty, lubię, jak wszystko się składa w całość, więc tak, to był luty, niemal koniec świata, bla, bla, bla, założyłam czapkę, która kiedyś należała do Marianki, swojej nie zabrałam, moja nasiąkła znaczeniami jeszcze w Tadoussac, a chciałam wyjechać bez żadnych znaczeń, po prostu.

– Prawdę mówiąc, nie wiedziałem, gdzie cię szukać, pracowałaś w domu, nie znałem twoich koleżanek, czasem się zastanawiam, czy miałaś koleżanki, którym mogłaś powiedzieć, gdzie jedziesz, dom wyglądał tak samo, ale jednak jakoś tak strasznie inaczej, wszystkie twoje rzeczy zostały, nie chciałem ich przetrząsać, przecież to niegrzeczne, w sumie to się nawet bałem, co znajdę, więc pomyślałem, że coś musiało ci się stać, ludzie nie znikają, jeśli nic im się nie dzieje.

Gdy wyszłam na klatkę, poczułam, jak płuca napełniają się powietrzem, w końcu, po raz pierwszy od lat, jak ciężar z karku zsuwa się na ziemię, zostaje pod progiem mieszkania, razem z całym życiem, zamkniętym w puszcze Pandory za drzwiami. Poszłam do kiosku, kupiłam nową kartę do telefonu, przełożyłam ją, stara wylądowała w koszu na śmieci na skrzyżowaniu, weszłam do kawiarni, do której nigdy nie wchodziłam, bo nie miałam czasu, zamówiłam czekoladowe ciastko, którego nigdy wcześniej nie zamawiałam, bo nie miałam czasu, a potem coś tknęło mnie w to wrażliwe miejsce między łopatkami i kupiłam bilet nad morze.

– Nie wiem, co się robi, gdy komuś coś się dzieje, nigdy nie byłem w takiej sytuacji, dzwoniłem po szpitalach, znaczy, moja pani z gabinetu dzwoniła, ale nigdzie cię nie mieli, nigdzie o tobie nie słyszeli, jakby cię nigdy nie było, ale przecież zostały te twoje książki, w sumie dlatego się przestraszyłem, myślałem, że jak odejdziesz, to zabierzesz swoje książki albo zeszyty, ubrania, cokolwiek, no ale nie zabrałaś, potem mnie oświeciło, żeby skontaktować się z twoją rodziną, ale nie miałem namiarów na twoją rodzinę, nigdy przez te cztery lata mnie do nich nie zabrałaś.

Z dworca poszłam prosto nad morze, usiadłam na piasku, było już późno i pusto, po plaży człapały mewy, podchodziły

do mnie blisko, wyglądały jak psy z tymi niezgrabnymi, ale ciężkimi ciałami, jedna przycupnęła obok mnie, a właściwie ciężko usiadła z głową wciśniętą w nastrożone pióra, plecami do miasta, jak gdyby obraziła się na cały świat. Wtedy wydawało mi się, że słyszę wieloryba, że na długości 52 herców pojawia się pik.

Siedziałam tak do późna, a potem poszłam do najbliższego hotelu, gdzie spędziłam noc w apartamencie z łóżkiem na pilota i wanną z hydromasażem, bo tylko taki mieli od ręki. Dzień później ścięłam warkocz, przefarbowałam włosy i kupiłam sobie wełnianą czapkę. Dwa dni później robiłam już gofry w kawiarni koło rynku.

Wstaje nagle, jak gdyby wróciła mu energia, już się kręci po przestrzeni, która jest dla niego za mała, nie wytrzymuje tej intensywności, oto ryba wyrwana z akwarium i wrzucana do foliowego worka, oto już zagląda do garnków, do pustego kubka po herbacie, gdyby mógł, to zajrzałyby do szafek, pod szafki, w szpary między deskami, ale nie może, nie może też przejrzeć kartek na lodówce, książek na półkach ani notatek w zeszytach, bo nie ma ani kartek, ani książek, ani notatek. Miota się jak trzmiel w słoiku, tak bardzo przypomina mi to dawne czasy, że aż się uśmiecham.

– Potem do mnie dotarło, że nikt cię wcale nie porwał, nikt cię nie przetrzymuje w piwnicy ani nie kroi na narządy, tylko po prostu odeszłaś, tak jak ludzie odchodzą, powiedziałaś mi to kiedyś albo wyczytałem to sobie w tych twoich wierszach o wielorybach, że wszyscy odchodzą, kiedyś, teraz, później, ale zawsze, więc jak odeszłaś, to jednak myślałem, że wrócisz, więc czekałem jak idiota i zastanawiałem się, co takiego zrobiłem, co poszło nie tak, przecież miałaś wszystko, przecież byliśmy szczęśliwi, najgorzej, że musiałem powiedzieć Mariance, pokochała cię, Marianka żadnej następnej nie zaakceptowała, bo oczywiście były inne i następne, wcale się tego nie wstydę, że były, najbardziej mnie boli, że podjęłaś tę decyzję beze mnie, nie dałaś mi nawet szansy dojść do słowa.

Trochę chce mi się śmiać, bo rzeczywiście nie dałam mu dojść do słowa, nie dałam dojść do słowa nikomu poza sobą, chyba po raz pierwszy zrobiłam to, co chciałam, a nie to, co chcieli. Nie byłam tą, za którą mnie

macie, nie jestem tą, za którą mam się sama, zawsze byłam tą, za którą myślałam, że mnie macie, aż trzeba było wyjść po mleko i nigdy nie wrócić. Kij wam w oko. Nie, nie kij. Figa z makiem.

– Nie rozumiem, naprawdę nie rozumiem, jak mogłaś zamienić to życie, któreśmy mieli, dobre życie, przecież nie musiałaś pracować, mogłaś robić, co chciałaś, mogłaś pisać o tych swoich wielorybach, mogłaś znowu pojechać je obejrzeć, i to już nie za bieda-pieniądze z jakiegoś stypendium, tylko ze mną, do Tadoussac, nie rozumiem, dlaczego zamieniłaś to na domek letniskowy bez ogrzewania, bo nie mów, że ta koza coś daje poza ryzykiem zatrucia tlenkiem węgla, że zamieniłaś to na noszenie tacek w restauracji, przecież miałaś potencjał, miałaś taki wielki potencjał, marnujesz tu swój talent, takich rzeczy się nie robi, Izabelo, przecież byliśmy szczęśliwi.

Jestem szczęśliwa, nie możesz tego pojąć, że jestem szczęśliwa bez tego wszystkiego.

Nie, nie tak.

Jestem szczęśliwa, proszę, zrozum, jestem szczęśliwa bez tego wszystkiego.

Nie, tak też nie.

Nie wierzę, że można być szczęśliwym, ja szczęśliwa bywam, bez tego wszystkiego, mówię w końcu i dalej mi się nie podoba, bo w głowie zawsze zdania brzmią idealnie, a gdy się je zapisuje, zamyka w konkretnych słowach, nagle stają się ciężkie, zamarzają w znaczenia, w których już nic nie ma z nieuchwytności chełbi w morzu. Pisanie to wyrzucanie tych chełbi na brzeg, w gorący

dzień, między resztki plastiku i popękane muszle. Dlatego czasem w ogóle nie zaczynam pisać, boję się, że zepsuję, zادةpczę i zgubię, też byście się bali. Ale po co mam opowiadać takie rzeczy, wcale nie musicie o nich wiedzieć, powinnam lepiej wziąć się do roboty, więc się biorę. Trzy, dwa, jeden, zapłon silnika i restart.

Dlatego tak lubię czas terazniejszy, bo w czasie terazniejszym nic nie jest do końca dokonane.

Frasuje się nagle, pochmurnieje, może nawet żałuje, że powiedział za dużo, ja powiedziałam za dużo, wszystko to już wisi w powietrzu, pewne możliwości się zamknęły, inne otworzyły, ale tych zamkniętych jest więcej, o czym ja już wiem, ale on, zdaje się, nie. Wstaje, zabiera swój kubek, wyrzuca torebkę z herbatą do kosza pod zlewem, zabiera i mój, zakasuje rękawy tej swojej marynarki i zaczyna myć, dokładnie, zawsze był pedantyczny i lekko kompulsywny, co, jak twierdził, wyniósł z pracy, bo kiedyś umył ręce w określonym porządku, co przyniosło mu szczęście w pracy, więc od tej pory mył je w ten sposób przez kolejnych trzydzieści lat. Bierze się za resztę naczyń, rozluźnia go ta czynność, zaczyna nawet lekko tupać do rytmu i podśpiewywać, i już cofamy się w czasie o sześć lat, piosenka przenosi nas do mieszkania z porządnym łóżkiem i większą liczbą krzeseł, jak gdyby nic się nigdy nie stało. Wychodzę na antresolę przygotować materac dla dwojga.

Gdy wracam, zastaję go znów na środku, na granicy kuchni z salonem, jakby nie



wiedział, co dalej, iść czy nie iść, zostać czy się żegnać, więc mówię, żebyśmy poszli na spacer, jak chodziliśmy często po jego dyżurach, gdy przyjeżdżał ze szpitala w środku nocy, jeszcze napompowany adrenaliną z sali operacyjnej, a ja przecież tak lubiłam słuchać, jak świat brzmi po zmierzchu. Mogę sobie wyobrażać, że tak było.

Wiatr wieje dosyć mocno, pogoda się wkrótce załamie i kutry nie wypłyną w morze, ale to mi nie przeszkadza, idę bez czapki, daję sobie targać włosy, ściągam buty, zostawiam je na progu domku, zachęcam go do tego samego, nie chce, ale się łamię, rozwiązuję buty, zsuwam skarpetki, niepewnie stawia kroki w piasku, bo a to zimno, a to patyk, a to kawałek popękanej muszli. Biorę go w końcu za rękę, prowadzę jak dziecko przez plażę, prosto do linii morza, a morze się burzy, jakby pod spodem płynął wieloryb, bardzo blisko brzegu, jak gdyby szorował białym brzuchem o dno.

Staję na plaży, pozwalam wodzie omywać mi stopy, przez moment mam ochotę iść dalej, w noc, między fale, i nawet robię dwa kroki, potem trzy, aż białe bałwany rozbijają się o moje kolana, wsiąkają w materiał spodni, pamiętam, że na tym stypendium, jeszcze przed Tadoussac, weszłam tak w nurt Rzeki Świętego Wawrzyńca i zatrzymałam się tylko dlatego, że ludzie patrzyli i ktoś już zaczął iść w moją stronę.

Odwracam się, żeby go przywołać, ale widzę, że zatrzymał się daleko, niepewnie przestępuje z nogi na nogę, dalej boi się morza, nic się nie zmieniło i nawet robi mi się trochę przykro, patrzę to w jedną, to w drugą stronę, każda woła po swojemu, ale wycofuję się, aż fala wymazuje ślady, jakie zostawiam.

Siadamy razem na piasku, ramię w ramię, w bezpiecznej odległości od wody.

– Opowiedz o wielorybie.

Zaczynam opowiadać o wielorybie, o którym po raz pierwszy opowiedział mi przewodnik na pokładzie łodzi w Tadoussac, kiedy poprosiłam o to samo. Mówią na niego 52 herce, choć to wcale nie jest jego prawdziwe imię, tak naprawdę nie ma własnego imienia, mogę nadać mu je sama na potrzeby tej opowieści, więc to robię, 52 herce przepływa ocean od lat, od roku, w którym jeszcze nie było mnie na świecie. Nie wiadomo, jakiego dokładnie jest gatunku, możliwe, że to

pletwał błękitny, możliwe, że hybryda, możliwe, że po prostu jest chory albo zdeformowany. Nikt nigdy go nie widział, można tylko usłyszeć, jak wypuszcza w ocean wołanie na częstotliwości 52 herców, za niskiej dla innych wielorybów, więc żaden nie może go usłyszeć, ale mimo to niez mordowanie nadaje tę swoją pieśń w pustkę, licząc, że kiedyś trafi na innego, ale takiego samego, możliwe, że pletwała błękitnego albo hybrydę, albo chorego lub zdeformowanego, i zostanie usłyszany. Wówczas, kto wie, może nawet pieśń doczeka się odpowiedzi. Jest pierwszy lub ostatni w swoim rodzaju.

Siedzimy, czas nie ma dokąd uciekać, aż on wstaje i tym razem to on mnie bierze za rękę, wracamy. Wiatr rozdyma połę płaszcza, targa włosy, wciska się pod warstwy ubrań, trzeszczy, przekraczany próg, stukają buty stawiane koło drzwi.

– Myślę, że mógłbym się tu wprowadzić, naprawdę, sądzę, że starczyłoby mi miejsca, mógłbym się tu zadomowić, może ten minimalizm jest rzeczywiście lepszy, tu też są szpitale, a prawdę mówiąc, ja już mogę pracować dużo mniej, a i tak by starczyło, żebyś ty nie musiała pracować wcale, przywiózłbym twoje książki i zeszyty.

Zaczyna opowiadać dalej, a ja już wiem, że nic nie zrozumiał i rozmijamy się w częstotliwościach. Mówi, że potrzebuje spokoju dla siebie, dla Marianki, może to szansa dla nas, ale i szansa dla niego, wszystko się może teraz wyprostować i będzie jak kiedyś, będzie jak dawniej, będzie jak na pokładzie łodzi w Tadoussac, kiedy razem staliśmy przy burcie, a lodowata woda, wezbrana wielkimi ciałami wielorybów, bryzgała nam w twarze, jak potem w sklepie z pamiątkami kupowaliśmy czapkę, jak już dużo później meblowaliśmy mieszkanie z łóżkiem i krzesłami.

Kładzie się obok mnie na twardym materacu, nakrywa kołdrą i mówi, że musi wrócić do siebie, bo ma pracę, ale potem wróci już do mnie, przyjedzie w piątek wieczorem, zaraz po dyżurze, i zostanie na weekend, a potem może już zostanie w ogóle, będzie jak kiedyś, będzie jak dawniej.

Och, mógłbym dalej udawać, że największym problemem jest ten mężczyzna, który samowolnie wszedł do mojego życia, albo zimno, bo koza słabo grzeje, albo piasek, co się wciska do oczu, mógłbym

udawać, że najbardziej denerwują mnie martwe foki na brzegu, ze śladami ran od kamieni rzucanych rękami rybaków, albo hulajnogi na ścieżkach rowerowych, korki na wyjeździe z miasta przy jednym czynnym pasie ruchu, ludzie, którzy nie mówią dzień dobry, ludzie, którzy rozmawiają przez telefon, kiedy do nich mówię, mnóstwo innych rzeczy, ale chyba moim największym problemem jesteście wy.

No dalej, proszę nastawić odbiorniki na częstotliwość 52 herców, trzy, dwa, jeden, zapłon silnika i start.

—
STOJĘ NA PLAŻY, piasek jest zimny, wciska się pomiędzy palce, pod paznokcie, jak gdyby chciał mnie wchłonąć albo połknąć, a ja wcale nie protestuję. Patrzę za siebie, domek letniskowy odcina się na tle coraz jaśniejszego nieba, promienie wschodzącego słońca odbijają się od szyb, gdzieś w środku on śpi spokojnie na antresoli, choć ja już wiem, że jutro powiem szefowi Syreniego Śpiewu, że się zwalniam, i w piątek wieczorem po dyżurze już mnie nie będzie, moje ślady rozmyje woda na piasku. Przez chwilę się nawet zastanawiam, czy on w ogóle istnieje, czy jest tylko towarzyszem podróży.

Ściągam warstwa po warstwie, prawie do końca, skarpety, wełniany sweter, bieliznę termiczną, wszystko, aż nie ma nic. Krok po kroku przecinam plażę, czuję ukłucie w tym wrażliwym miejscu między łopatkami. Woda jest zimna, ale morze wydaje się spokojniejsze, to już nie gar czarnej rtęci, tylko spokojne ujście Rzeki Świętego Wawrzyńca do oceanu.

Wtedy woda się rozstępuje, otwiera, aż na powierzchni pojawia się błękitne, obłe ciało wieloryba. Idę przed siebie, coraz szybciej, fale podchodzą mi już pod piersi, idę i wołam. Wysyłam falę w określonej częstotliwości, przemieszcza się energia, materia pozostaje w miejscu, idę, idę i wołam, aż dzieje się coś, co sprawia, że w końcu się uśmiecham, z ulgą, ze spokojem, jakbym była jednym z morzem, z plażą, z chełbią pod podeszwą, ze spokojnym mężczyzną w domku letniskowym, z dwudziestoletnią Marianką, ze wszystkim innym.

Wieloryb odpowiada.

– Słyszycie?

SOCZEWKA PISMA

Rekultywacja po polsku

tekst MICHAŁ SZCZĘCH

—
MIESZKANICY MAŁEJ WSI W WOJEWÓDZTWIE LUBUSKIM
rzucili wyzwanie nieuczciwemu przedsiębiorcy,
który zwoził cuchnące odpady.

—
17 sierpnia 2022 roku





Lipiec 2021 roku. Mieszkańcy Mirocina Dolnego, lubuskiej wsi w gminie Kozuchów, blokują drogę wojewódzką, chodząc po przejściu dla pieszych. Blisko czterdzieścioro (z 362 zamieszkujących wówczas wieś) zdesperowanych, rozczarowanych i przestraszonych ludzi. Adrian Pikulski, rolnik i radny gminy, przez megafon nawołuje kolejnych. Emerytki Krystyna Haniszewska i Helena Jaroszek wymachują biało-czerwonymi flagami. Sołtys Krzysztof Raczykowski z żoną i córką niosą baner z napisem „Stop dla odpadów!”. Na jego druk zrzucili się mieszkańcy. Kierowcy trąbią, klną i krzyczą: „Wariaci! Do psychiatryka z wami!”. Podjeżdżają protestującym pod nogi. Inni gratulują im odwagi.

Ciężarówki zjeżdżają do Mirocina Dolnego z całej Polski. Mają numery rejestracyjne z Pomorza, Małopolski i Śląska (mieszkańcy widzieli też tablice z Europy Zachodniej, między innymi z Niemiec, Austrii, Holandii i Francji). Z naczep niesie się smród, od którego gryzie w gardle. Na asfalt kapią kleksy szarej mazi.

– Co wieciecie? – pytam kierowców. Jedni nie reagują. Inni odpowiadają, że zwożą zmielone odpady. Jakież? Podobno nie mają pojęcia.

Śmieciokulturowanie

DWA LATA WCZEŚNIEJ Helena i Krzysztof Jaroszkowie, mieszkańcy Mirocina Dolnego, odwiedzili pobliską nieczynną żwirownię i stanęli jak wryci. Ktoś wyciął rosnące tam drzewa, wykarczowany teren ogrodził siatką i powiesił tablicę z napisem „Teren prywatny. Wstęp wzbroniony”. Jaroszkowie osiedli w Mirocinie Dolnym przed dekadą, przenosząc się z Radwanowa, pobliskiej wsi. Wychowali tam troje dzieci i ciężko pracowali, Helena jako fryzjerka i krawcowa, a Kazimierz jako ślusarz i spawacz. W nowym miejscu zamieszkania zachwyliła ich przyroda. Planowali wieść tu szczęśliwe życie emerytów i wreszcie odpocząć.

– Szybko poczuliśmy się jak w domu. Jeździliśmy rowerami do starej żwirowni – opowiadają. – Zabieraliśmy tam wnuki, latem na rowery, zimą na sanki.

Mieszkańcy Mirocina Dolnego traktowali otoczoną lasem żwirownię jako teren rekreacyjny. Chodzili tam na spacer, słuchali śpiewu ptaków, zbierali jagody i grzyby. Nietrudno było zobaczyć stado saren. Porośnięty trzcinami teren otaczało betonowe ogrodzenie. W 2020 roku do miejscowej szkoły zadzwonił jakiś mężczyzna. Przedstawił się jako kierowca ciężarówki. Pracownicy podstawówki opowiadali później, że przestrzegł, żeby mieszkańcy zaczęli coś robić, bo inaczej ktoś zasypie ich śmieciami. Krystyna Haniszewska, emerytowana katecheta, poszła do sąsiada mieszkającego przy krzyżówce. Twierdził, że usłyszał od kierowcy jednej z ciężarówek: „Czemu pozwalacie, żeby wam syf zwożono?”. Rozmawiała też z radnym Pikulskim. Od niego dowiedziała się, że ruszyła rekultywacja dawnego składowiska odpadów, które przed laty utworzono na terenie nieczynnej żwirowni.

– Dlaczego nikt z nami o tym nie porozmawiał? – zdziwiła się Haniszewska. – Dlaczego nie było zebrania?

„Proces przywracania terenom zniszczonym (zdegradowanym) przez działalność człowieka pierwotnej postaci lub wartości użytkowych i przyrodniczych możliwie bliskich stanowi naturalnemu” – tak definiuje rekultywację portal Ekologia.pl.

Po pierwszych sygnałach, że coś jest nie tak, radny Pikulski wspierany przez Haniszewską zawiązał w Mirocinie Dolnym społeczny komitet mieszkańców. Od razu dołączyło kilkanaście osób, w tym Jaroszkowie, którzy wciąż jeździli w okolice żwirowni. Była jesień 2020 roku, gdy dojechali do krzyżówki i musieli zawrócić, bo śmierdziało tak, że nie mogli złapać tchu.

Szkoła w Mirocinie Dolnym nie ma sali gimnastycznej. Kiedy jest względnie ciepło i sucho, dzieci ćwiczą na dworze. Ćwiczyły też w czerwcu 2021 roku, gdy znowu zaczęło śmierdzieć. Z relacji rodziców i nauczycieli wiadomo, że później źle się czuły, niektóre wymiotowały. Mieszkańcy ślali pisma do Starostwa Powiatowego w Nowej Soli, do Urzędu Marszałkowskiego Województwa Lubuskiego i Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska (WIOŚ) w Zielonej Górze. Haniszewska rozwiesiła ogłoszenia, pukała do drzwi kolejnych domów.

– Chodźcie na ulicę – zachęcała sąsiadów. – Nie mamy wyjścia, urzędnicy nas nie słuchają. Wszędzie już pisaliśmy. I znikąd pomocy! Żurawie, jelenie, dziki... Przez tę rekultywację potraciło się wszystko! Zwierzęta stąd odeszły, bo widocznie czuły, że coś jest nie tak.

PROBLEM Z ODPADAMI, ich składowaniem i późniejszą rekultywacją składowisk istnieje nie tylko w Mirocinie. Z danych Głównego Urzędu Statystycznego wynika, że w 2022 roku zebrano w Polsce 13,4 miliona ton śmieci, co oznacza ponad 355 kilogramów na głowę. To i tak zaniżone liczby, bo nie ujmuje odpadów wyrzucanych nielegalnie, na przykład do lasów. Choć mieszkaniec Unii Europejskiej średnio produkuje więcej śmieci od statystycznego Polaka (ponad pół tony), to nie ma powodów do optymizmu. Tylko 40 procent odpadów zebrano selektywnie, reszta to zmieszane. Raptem jedna czwarta jest poddawana recyklingowi, choć do 2025 roku Polska jest zobowiązana unijnymi wymogami osiągnąć recykling na poziomie 55 procent, a do 2035 roku – 65 procent.

Na koniec 2022 roku w Polsce było 259 czynnych składowisk odpadów o łącznej powierzchni 1624 hektarów. W ciągu tego roku zamknięto jedenaście składowisk o łącznej powierzchni 45 hektarów i zrehabilitowano ponad 29 hektarów już zamkniętych. W takim tempie polskie składowiska, te przeznaczone do zamknięcia i już zamknięte, rekultywowane będą przez wiele lat. Tymczasem zgodnie z wytycznymi Unii musimy ograniczyć ich liczbę. Pomaga w tym właśnie rekultywacja.

OD LAT 70. ubiegłego wieku oddział terenowy Fabryki Samochodów Osobowych (FSO, z główną siedzibą na warszawskim Żeraniu) produkował w Kozuchowie, odległym o siedem kilometrów od Mirocina Dolnego, sprzęgła, które trafiały do jeżdżących po całej Polsce polonezów i fiatów. Na początku kolejnej dekady FSO zaczęła się starać o utworzenie składowiska, na które można by zwozić niebezpieczne odpady pochodzące między innymi z płukania fabrycznych wanien. Ówczesne władze Kozuchowa wskazały pod

budowę kawałek terenu po dawnej żwirowni w Mirocinie Dolnym, z której w latach 60. i 70. korzystał Rejon Eksploatacji Dróg Publicznych – wydobyte kruszywo, w tym żwir, piasek, glinę i pospółkę [mieszanię piasku i żwiru – przyp. red.] stosowano do budowy dróg. Ostateczną zgodę na utworzenie składowiska wydano w 1987 roku, gdy FSO złożyła niezbędne zapewnienia, że zwożone odpady nie przesiąkną do gruntu, a w konsekwencji nie skażą wód gruntowych i powierzchniowych. Składowisko powstało w 1990 roku.

Janusz Cichecki odpowiadał w FSO za bezpieczeństwo i higienę pracy. Z czasem doszły mu obowiązki związane z ochroną środowiska, a gdy powstało składowisko w Mirocinie Dolnym, został jego kierownikiem.

– Pozwolenie na budowę wymagało spełnienia wielu warunków – zaznacza. Na kartce papieru rysuje trapez, bo taki kształt z lotu ptaka miał zbiornik, do którego wlewano odpady przywożone z FSO. Wokół trapezu rysuje linię. To specjalna folia, która oddzielała zbiornik od grubej na ponad pół metra warstwy ilów. Niżej była jeszcze glina. – Do zbiornika zwoziliśmy odpady pogalwaniczne [powstałe w wyniku elektrochemicznej obróbki metali – przyp. red.]. – Osiały na dnie składowiska, a nad nimi znajdowała się woda. Cichecki podkreśla, że te osady były całkowicie zneutralizowane i nie szkodziły środowisku. – Przecież w tej wodzie z czasem zadomowiły się ryby, zamieszkały tam kaczki i łabędzie.

Składowisko zajęło nieco ponad hektar. Miało działać do 2000 roku. Po dziesięciu latach użytkowania, po przeprowadzeniu badań, czy nie wpływa negatywnie na wody podziemne i powierzchniowe, FSO mogła przedłużyć pozwolenie na zwożenie odpadów o kolejne dziesięć lat. Wody były czyste, więc skorzystała z tej możliwości. – Następnie teren miał zostać zrehabilitowany ziemią, na której wyrósłby las – zaznacza Cichecki.

W 1996 roku FSO zawiązała spółkę z koreańskim wielobranżowym koncernem Daewoo, który już trzy lata później ogłosił bankructwo. – Odpady przestaliśmy zwozić do Mirocina Dolnego chyba w 2007 roku – przypomina sobie Cichecki. Według

Dariusza Radzikowskiego, dyrektora Biura Zarządu FSO w Warszawie, nastąpiło to już w 2005 roku. Stało porzucone składowisko zneutralizowanych odpadów niebezpiecznych w obrębie nieczynnej żwirowni. Potem powstało tu dzikie wysypisko.

– Telewizory, lodówki, wersalki, opony... – wylicza Krzysztof Raczykowski, sołtys Mirocina Dolnego. W połowie 2017 roku zwrócił na nie uwagę na sesji rady gminy Kożuchów. Burmistrz Paweł Jagasek zadeklarował wtedy, że zajmie się sprawą. Teren skontrolowali pracownicy Lubuskiego Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Środowiska w Zielonej Górze. Uznali, że składowisko należy zrehabilitować.

— POLSKIE PRAWO pozwala na prowadzenie rekultywacji za pomocą odpadów. – To nic złego pod warunkiem, że jest prawidłowo prowadzona – zastrzega ekspert, który pragnie zachować anonimowość, absolwent inżynierii środowiska, specjalista w dziedzinie gospodarki o obiegu zamkniętym (polegającej na wykorzystywaniu odpadów z jednych procesów jako surowców dla innych). Na składowisku rekultywowanym odpadami powstają dwie warstwy. Na dolną zgodnie z przepisami mogą trafiać odpady typu żwir, żużel, popiół czy opony.

– W Polsce definicja słowa „odpad” jest bardzo szeroka – tłumaczy ekspert.

– Człowiek słyszy „odpad” i widzi stertę śmieci. A przecież odpadem jest też zwykła ziemia. Jeżeli rekultywacja prowadzona jest za pomocą ziemi i gruzu, które, co bardzo ważne, nie powodują niebezpiecznych odcieków, i gdy trzymamy się listy odpadów obojętnych, to nie stwarzamy żadnego zagrożenia dla środowiska. Natomiast na samym końcu musi powstać warstwa wierzchnia, porośnięta roślinnością. Tworzona jest między innymi z kompostów i osadów ściekowych. I tu pojawia się problem w postaci braku kontroli nad ich jakością. To powoduje, że na rekultywację trafiają rzeczy, które nie powinny być nią objęte, jak niebezpieczne odpady.

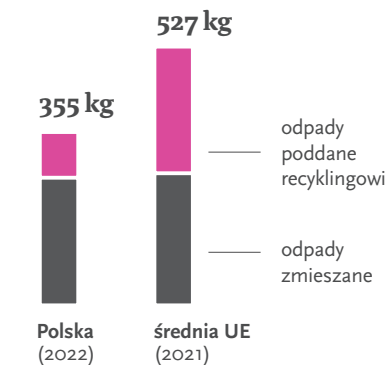
Piotr Rymarowicz jest prezesem Towarzystwa na rzecz Ziemi, aktywistą od blisko czterdziestu lat. Od kilkunastu interesuje się rekultywacjami. – Skoro w Polsce prowadzone są za pomocą śmieci, na przykład dziury po wydobywaniu żwiru zasypywane są śmieciami, to na pewno nie można mówić o przywracaniu takiego terenu przyrodzie. Wręcz przeciwnie, degradacja postępuje. Takiego proceduru, powszechnego w Polsce, w ogóle nie powinniśmy nazywać rekultywacją. To pseudorekultywacja.

— W ODDALONYCH o dwadzieścia dwa kilometry od Mirocina Dolnego Bobrownikach, wsi położonej w gminie Otyń w powiecie nowosolskim, też prowadzona jest rekultywacja odpadami. Zmielonymi śmieciami przykrywane jest tam dawne wysypisko. Urzędnicy z Urzędu Marszałkowskiego Województwa Lubuskiego i ze Starostwa Powiatowego w Nowej Soli wydali zgodę na jej rozpoczęcie, nie powiadomiwszy o tym mieszkańców. Gdy przez Bobrowniki ruszyły sznury pojazdów wyładowanych po brzegi odpadami, gdy od wstrząsów szklanki tańczyły na stole, a hałas i smród nie dawały żyć, przerażeni ludzie wyszli na ulicę. Bali się, że ich domy zaczną pękać, że ciężarówki zniszczą gminne drogi. Wcześniej nigdy nie uczestniczyli w protestach. Widzieli jednak w telewizji, jak strajkowali aktywiści. I tak jak oni kładli się na asfalcie, tworząc barykadę ze swoich ciał.

Ktoś powiadomił policję. Przyjechało blisko dwudziestu funkcjonariuszy, przysłanych przez Grzegorza Karpińskiego,

ILE PRODUKUJEMY ODPADÓW KOMUNALNYCH

Ilość śmieci przypadająca na jednego mieszkańca Polski w porównaniu do średniej unijnej



Zródło danych: Eurostat, GUS.



20 kwietnia 2023 roku